

Tadeusza Esmana

wspomnienia o Bydgoszczy (cz. 2)

Pierwszy dzień wolności był dniem radosnych wzruszeń. W godzinach rannych 24 stycznia na obszerny dziedziniec przed naszym domkiem przy ulicy Chłopickiej 4 (w czasie okupacji Wrangel Strasse) na Wilczaku wjechało kilka czołgów ze słynnej brygady pancerniej Westerplatte. Dzieci wdrapywały się na gąsienice i lufy armatnie, a my, starsi, nawiązywaliśmy pierwsze kontakty z żołnierzami polskimi. W domu panowała straszliwa ciasnota. Nie zważając na nią, gościliśmy serdecznie dowódcę czołgu, smągłego bruneta. Nazwisko wyleciało mi z pamięci, choć stoi dziś przede mną jak żywy. Początkowo był nieco onieśmielony, być może wskutek oglądy towarzyskiej, według reguł zachodnioeuropejskich. Liczne rusycyzmy świadczyły o stosunkowo niedługim pobycie w szeregach Wojska Polskiego. Oficerów tego typu spotykało się w tych czasach często. Zdarzało się, że oficerowie wyższego stopnia dowodzenia mówili tylko po rusku. Naszego porucznika, przyzwyczajonego do mocnych trunków, przeraził zapewne poczęstunek w postaci okupacyjnej herbaty z krajowego liścia lipy. Gość zrewanżował się wytwornie niemiecką czekoladą, chociaż kiepskiego gatunku. Zabawne było dla mnie jego wzruszająco naiwne twierdzenie, że Żukow też jest Polakiem. Nasza znajomość nie trwała długo, jeżeli się nie mylę, około 48 godzin. Jego czołg wyjechał nagle i nie wrócił na miejsce postoju. Podejrzewam, że został rozbity w czasie dalszych walk ulicznych. Szkoda – moje dzieci polubiły go bardzo.

Sięgam jednak do innych drobiazgów z ówczesnych wydarzeń o charakterze bardziej osobistym. Wkrótce po pojawieniu się pierwszych polskich czołgów nadarzyła się nieoczekiwana okazja do wychylenia pierwszego kielicha dla uczczenia wolności. Wiedziony ciekawością ruszyłem na rekonesans do wyzwolonej części miasta. Droga wiodła przez ulice zapchane pojazdami wojskowymi różnego typu. Dominowały zaprzęgi konne, pochodzenia chłopskiego. Niektórzy „taborcy” przypominali chłopów z obrazów Chełmońskiego. Jeden zatabaczony dziad w rosyjskim mundurze, zdaje się niezupełnie trzeźwy, wiózł na furmance mocno zabiedzoną, smutną kozę. Wielka zwycięska armia od strony kulis nie prezentowała się dobrze. Powstawały korki

i zatory. Szczególnie niebezpieczny był zator w okolicy mostku przez kanał na ulicy Wrocławskiej. W zatarasowanych uliczkach zabrakło wolnego miejsca na przejście dla pieszych. Przechodniom groziło co chwilę zmiżdzenie. Tego rodzaju wypadki się zdarzały. Mnie udało się z opresji wyjść cało. Warunki bezpieczeństwa ruchu dla pieszych poprawiały się w miarę zbliżania się do ulicy Poznańskiej i placu Poznańskiego. Tylko w pobliżu budynku, gdzie mieściła się fabryka wódek Flathego, gęstniał tłum cywilów. Wojacy wyjątkowo przegapili okazję. W bramie kotłowniana niczym w bitwie pod Grunwaldem w interpretacji Matejki. Poszły w ruch pięści i łokcie, w walce posługiwano się też kopniakami. W tych warunkach łatwiej było wejść niż wyjść z budynku. Osoby wychodzące miały bowiem ręce unieruchomione nadmierną ilością butelek. W starciach najbardziej ucierpiały butelki. Rynsztokiem płynął różnobarwny strumień likierów. Przyglądając się wyczynom moich rodaków, zwróciłem uwagę na drağala, który z maestrią żonglera wyłonił się z czeluści obleganego domu, obładowany znaczną ilością butelek. Po wyjściu skierował swe kroki do sąsiedniej bramy. Po upływie kilku minut wyszedł i zanurzył się ponownie w szturmującym tłumie. Zaintrygowany zajrzałem do wspomnianej bramy. Zdębiałem! Za drzwiami stało co najmniej kilkadziesiąt butelek z drogocennym płynem. Nie zwlekając, skonfiskowałem żonglerowi dwie butelki likieru. Sądzę, że ubytku nie zauważył. Ja natomiast skorzystałem z możliwości oglądania nowej rzeczywistości przez pryzmat zawarty w flaszcze o złocistym kolorze.

Następnego dnia [25 I] mój sąsiad [Roman] Zieliński przyniósł mi wiadomość o powstaniu Tymczasowego Komitetu Obywatelskiego, który ma zamiar przejąć władzę cywilną w mieście. Tego samego dnia wybrałem się do ratusza, aby komitetowi zaofiarować swoją pomoc. Przewodniczący Roman Borowski przyjął mnie z otwartymi ramionami i powierzył z miejsca odpowiednią funkcję. Po kilku dniach dostałem też biało-czerwoną opaskę, którą z dumą założyłem na ramię. Wspólnie z porucznikiem Wojska Polskiego Jerzym Lawiną Świętochowskim miałem zabezpieczać gmachy, gdzie znajdowało się polskie mienie kulturalne. Przeszedłem na czworakach przez wysadzone w powietrze i mocno oblodzone przęsła mostu Bernardyńskiego na lewobrzeżną stronę miasta. Byłem chyba pierwszym cywilem, któremu udało się bez szwanku dotrzeć na ulicę Dworcową. Gmach mojego Archiwum znajdował się jak gdyby na ziemi niczyjej, między frontami. Na narożniku u zbiegu Dworcowej z ulicą Królowej Jadwigi spostrzegłem grupę żołnierzy radzieckich manipulujących przy dziale, którego lufa skierowana była w stronę placu Piastowskiego. Gmach Archiwum był nieuszkodzony. Rekonesans potwórzyłem następnego dnia. Słabe echa strzelaniny dochodziły tylko z pół-

nocno-wschodnich krańców miasta. Na ulicy Gdańskiej grupy cywilów plądrowały sklepy. Nie próżnowali też amatorzy cudzej własności w mundurach, którzy szukali zdobyczy wojennych w rzekomo niemieckim mieście. Przypatrzywałem się oblężeniu drogerii usytuowanej obok apteki Pod Łabędziem. Dostępu bronił nasz znajomy drogerzysta z Bielawek. Tłum stawał się coraz bardziej agresywny – znajomemu groził lincz. Zanim skapitulował, dostrzegł mnie. Wycofując się, wskazał mi drogę na tyły magazynów. Dzięki jego życzliwości wyszedłem stamtąd obładowany różnego rodzaju środkami odżywczymi. W pierwszych tygodniach po wyzwoleniu miasta niemowlęta umierały masowo, głównie z powodu braku mleka. Mojej najmłodszej latorośli Hani ocaliło życie przyniesione mleko w proszku.

Tegoż dnia, późnym popołudniem dotarłem do naszego domu przy ulicy Asnyka 4, w którym przed wojną nie zdążyliśmy zamieszkać. Drogę z Wilczaka odbyłem pieszo, w kilku miejscach natknąłem się na białe prześcieradła, pod którymi ukryte były zwłoki Niemców padłych w czasie wyzwolenia miasta. Ulica Asnyka, wtedy Emmanuel Kant Strasse, z mieszkaniami „nur für Deutsche”, była zupełnie pusta. Hitlerowscy dygnitarze zdążyli się ulotnić. A jednak znaleźli się nieproszeni goście. Drzwi do mieszkania na pierwszym piętrze były wyłamane. W pokoju siedziało troje włamywaczy w polskich mundurach, dwóch mężczyzn i kobieta. Właśnie otwierali butelkę wódki. Byli bardzo niezadowoleni z mojego pojawienia się. Jeden intruz z dystynkcjami oficerskimi twierdził uparcie, że jestem niemieckim szpiegiem, bo w Bydgoszczy nie ma Polaków – „wszystkich wymordowali hitlerowcy”. W pewnym momencie zażądał dowodu tożsamości. Pokazałem mu niemiecką kennkartę. Niemiecki dokument zupełnie go rozsierdził, nie mógł sobie dać rady z jego odczytaniem. – Gdzie jest napisane, że jesteście Polakiem! – krzyczał. Sytuacja stała się dramatyczna, kiedy wyciągnął pistolet i zaczął we mnie celować. Być może życie zawdzięczam kobiecie, która w ostatniej chwili chwyciła go za rękę i uspokoiła argumentem, że na tej ulicy jest wiele bezpieczeństwa mieszkań. Dziękując Bogu, podarowałem damie w szynelu butelkę Doppelkorna, którą znalazłem w bufecie. Tyle kosztowało życie w tamtym okresie – było tanie! Nie szybko dowiedziano by się o moim zniknięciu. Do dziś nie wiem, czy nieproszeni goście chcieli mnie tylko postraszyć, czy też zlikwidować. Następne dni pilnowałem mieszkania na przemian z matką. Reszta rodziny pod wodzą teścia Ludwika Nowakowskiego pakowała nasz skromny dobytek do przeprowadzki. Przeprowadzka odbywała się na raty i trwała kilka dni. Dzieci zjawily się po jej zakończeniu. Ryzykowaliśmy dużo.

Warunki bezpieczeństwa na naszej ulicy budziły w dalszym ciągu obawy. Rewizje domowe z udziałem naszych wyzwolicieli odbywały się prawie co-

dziennie, choć rewidujący zachowywali się na ogół spokojnie. Niektórzy starsi wojacy radzieccy na widok naszych dzieci zmieniali się nagle w dobrotliwych wujków i nie tylko zaniechali rekwizycji, ale wydobywali z worków różnego rodzaju prezenty, czasami bardzo dziwne, na przykład w postaci... starych kaloszy. W sąsiednich, na ogół pustych, domach rewizje przekształcały się w pospolite rabunki. Żołnierze szli od domu do domu otoczeni gromadką dzieciaków, rekwirując dobra nadające się do przeniesienia w przepastnych worach. Moje dzieci też przyniosły do domu łupy z owych rewizji – były to przeważnie zabawki. Kilkumiesięczne kontakty z żołnierzami rosyjskimi wzbogaciły nas także językowo. Dzieci co rusz popisywały się znajomością pojedynczych słów i zwrotów z nieznanego nam przedtem języka. Obok pospolitych przekleństw, najczęściej powtarzane były słowa: dawaj i bjeri.

Również sytuacja na froncie była początkowo niestabilna. W nocy 31 stycznia przeżyliśmy szok, którego nie zapomnę do końca życia. Noc Walpurgii – ziemia zadrżała, dom przypominał chwiejący się, przysłowiowy domek z kart, który w każdej chwili może się zawalić. Huk straszliwych detonacji powtarzał się dłuższy czas. Na niebie zaległa kilkusetmetrowej wysokości, krwawa łuna. Schowaliśmy się w piwnicy, przypuszczając, że Niemcy ostrzeliwują miasto pociskami V-1 i lada chwila Bydgoszcz znajdzie się ponownie w ich rękach. Strach ma wielkie oczy. Obserwowałem, jak znikają z okien polskie chorągwie, jak usuwano na gwałt modne w tym czasie nalepki „Tu mieszkają Polacy”. Dopiero nad ranem życie wróciło do normy. Okazało się, że spod Piły przedarła się przez ruchomą linię frontu kolumna czołgów niemieckich. Kolumna ta dotarła do Osowej Góry, gdzie Niemcy wysadzili w powietrze olbrzymią składnicę amunicji. Na skutek braku współdziałania z innymi formacjami armii niemieckiej wycofała się w kierunku Piły. Pod koniec lutego linia frontu przesunęła się w kierunku Wału Pomorskiego. W tym czasie znikła też plaga nielegalnych rewizji domowych. Ustabilizowały się też warunki mieszkaniowe.

Mieszkanie nasze prezentowało się pięknie. Poprzedni lokator, wyższy urzędnik kolejowy, pozostawił je we wzorowym porządku. Klucze do wszystkich drzwi i szaf leżały na biurku wraz ze spisem inwentarza ruchomego. Nie potrzebowaliśmy więc korzystać ze sfatygowanych mebli własnych, które zostały zresztą mocno zdekompletowane. W czasie przeprowadzki z ulicy Chłopskiego żołnierze rosyjscy, obozujący w pobliżu mostu Królowej Jadwigi, skonfiskowali bowiem część mebli na opał. Nasi sojusznicy ogrzewali się między innymi w płomieniach podsycanych przez meble z białej, lakierowanej sypialni, którą moja żona otrzymała w posagu. Dziś pozostały po niej resztki: toaletka i szafa do garderoby. Umeblowanie ponemieckie nabyłem później

na własność za zgodą Urzędu Likwidacyjnego, spłacając należność ratami. Gratis skorzystaliśmy z dobrze zaopatrzonej spiżarni. Po raz pierwszy, po pięcioletniej poniewierce, znaleźliśmy wreszcie dach nad głową, o którym marzyliśmy. Szczególną radość miały dzieci, bo zabawek odziedziczyły po swoich uprzywilejowanych rówieśnikach co niemiara. Szkoda, że daliśmy im całkowitą swobodę we władaniu tym dobytkiem. Dzieci, jak to dzieci, psuły, co się zepsuć dało. Starsze córki: Ewa i Danka celowały w fabrykacji wycinanek z niemieckich książek.

W maju 1945 roku, po ostatecznym rozgromieniu Trzeciej Rzeszy, zaczęto likwidować front. Miliony żołnierzy wracały z Łaby do ojczystego kraju. Ewakuację organizowano planowo, w etapach. Bydgoszcz stanowiła ważny punkt etapowy, w którym zatrzymywały się liczne formacje na określony czas. W związku z tym należało oddać im do dyspozycji znaczną liczbę kwater prywatnych. Aby uniknąć kolizji między ludnością cywilną a wojskiem, opróżniono nie tylko poszczególne domy, ale często całe ciągi uliczne. Do ulic objętych tą akcją należała również nasza. Nam kazano się wyprowadzić w ciągu 48 godzin. Ulica Asnyka została zabarykadowana na całej długości z obu stron. Do utworzenia barykad użyto przede wszystkim mebli zarekwirowanych z okolicznych mieszkań. Na naszej ulicy rozmieszczono Rosjan. Prowizoryczne lokum na kilka miesięcy znaleźliśmy w Archiwum Państwowym przy ulicy Dworcowej, ale nie wszystko zdołaliśmy zabrać. Część przedmiotów zostawiliśmy na miejscu w suterenie. Wśród nich narzędzia do uprawy i pielęgnacji ogrodu. Zabezpieczenie okazało się nieskuteczne, przedmioty przepadły. Późną jesienią można było wrócić na ulicę Asnyka. Mieszkania nie były mocno zniszczone. Najgorzej wyglądały łazienki, ponieważ żołnierze chyba nie odróżniali, do czego służą muszle klozetowe i wanny. Potrzeby fizjologiczne załatwiali więc także do wanien. Po powrocie z Archiwum nie wróciliśmy jednak na pierwsze piętro. Poprzednio uzgodniliśmy z wujostwem Mateckich (wujek Władek i ciocia Stefcia), którzy chcieli zamieszkiwać w naszym domu, że odstąpimy im mieszkanie i przeniesiemy się na parter. Była to właściwie zamiana, bo uprzednio otrzymali urzędowy przydział na mieszkanie na parterze. Propozycję zamiany uzasadniali potrzebą ciszy. Nasza gromadka młodzieżowa zachowywała się nieraz bardzo głośno. Po wujostwie mieszkanie na pierwszym piętrze przejął ich syn Zygmunt Matecki [...].

Mieszkanie na drugim piętrze od końca stycznia 1945 roku zajmował, pochodzący z Bydgoszczy, były porucznik AK z Powstania Warszawskiego i kandydat na dziennikarza Edmund Orkiszewski. W mieszkaniu na drugim piętrze było zawsze rojno i gwarno. Orkiszewski prowadził dom otwarty. Lokal służył głównie jako kwatera awaryjna dla jego znajomych bliższych i dalszych, prze-

ważnie oficerów. W lutym kwaterował w naszym domu dwa tygodnie sztab polskiej dywizji. Wyższe szarże lożowały na ogół na parterze, a niższe na pozostałych piętrach. Pamiętam, że pewien pułkownik spędził kilka nocy w jadalni na wygodnej otomanie, major na reprezentacyjnym bufecie, natomiast kapitan – na mniej reprezentacyjnym, a przede wszystkim mniej stabilnym, stole. Jakaś dziwna zbieranina – obok przedwojennego oficera w randze majora – młody wymuskany ułan, podobno adiutant generała. Chwalił się swoim moskiewskim wykształceniem. Ojciec podobno był Polakiem, ale nie bardzo go pamiętał. Po polsku mówił słabo. Oficer gospodarczy, Żyd z pochodzenia, poinformował mnie poufnie na ucho, że ułan jest politycznie niebezpieczny, ma też skłonności do kleptomanii. Miał chyba rację, bo ułan wycygnął ode mnie adapter i zdradzał apetyt na więcej. Termin „politycznie niebezpieczny” w owych czasach oznaczał że, osoba taka mogła być prowokatorem i donosicielem. W ucztach, która odbywała się na drugim piętrze, uczestniczyłem tylko raz. Uciekłem już po pierwszym kielichu. Trunek wypilem jednym haustem nieuprzedzony, że jest to czysty spirytus. Rezultatem były torsje, które nauczyły mnie ostrożności w konsumpcji alkoholu. Najsympatyczniejszą figurą w tej ekipie wojskowej był szofer, na którego wołano Bolek. Nazwiskiem posługiwano się w tym czasie bardzo rzadko. W kłapie munduru nosił jakieś odznaczenie radzieckie. Pochodził z za Buga. Gawędziarz i gaduła jakich mało. Opowiadał o swoich licznych przygodach w Związku Radzieckim. Był na wozie i pod wozem. Jadł chleb z niejednego pieca, nie tracąc wrodzonego optymizmu i trochę ironicznego spojrzenia na otoczenie – taki chłopski Zagłoba. Dzieci słuchały jego opowieści z zapiętym tchem i patrzyły w niego jak w tęczę. Bolek czuł się u nas jak we własnym domu i obiecał, że wróci po wojnie. Niestety, przepadł jak kamień w wodę. Dzięki Bolkowi mogliśmy po raz pierwszy od dłuższego czasu najeść się do syta mięsa. Któregoś dnia mianowicie ciężarowy Studebacker Bolka dostarczył na Asnyka całe stado baranów. Owce zaszlachtowano w pralni – mięsa starczyło na dłuższy czas. Od lat nie jadłem skopowiny w takich ilościach. Po latach przymusowego postu mieliśmy prawdziwą wyzerkę. Czas konsumpcji rozgotowanej brukwi wydawał się mijać bezpowrotnie.

Do ludzi, którzy w tym czasie szukali w naszym domu chwilowej przystani, należał profesor Eugeniusz Domański. Wrócił z oflagu w Woldenbergu i był bezdomny. Po kilku dniach otrzymał posadę kierownika Instytutu Weterynarii i zamieszkał w willi przy Alejach Ossolińskich, należącej do Instytutu Rolnego. Profesor, człek głęboko uczony, wykładowca na Uniwersytecie Warszawskim, był fanatykiem pracy. Mimo nawału pracy przyjmował mnie zawsze chętnie u siebie, podkreślając swoją wdzięczność za udzieloną gościnę

w pierwszych trudnych dniach pobytu w Bydgoszczy. Pomagał mi też wydatnie w czasie organizowania Bydgoskiego Towarzystwa Naukowego. Był pierwszym jego prezesem. Szkoda, że po kilku miesiącach zabrała go nam Warszawa. Miał żonę warszawiankę, osobę bardzo sympatyczną. Myślę jednak, że wiele ciepła do życia rodzinnego Domańskich wniosła ich córka, zagorzała bydgoszczanka.

Czas wrócić do mieszkania na drugim piętrze. Orkiszewski, jak wielu ludzi, próbował dostosować się do nowej sytuacji politycznej. Z uwagi na akowską przeszłość stało się to w dalszej perspektywie niemożliwe. Robił na mnie wrażenie, jakby szukał czegoś, czego nie zgubił. Dziennikarstwo nie przysparzało mu laurów. Zaczynał w miejscowej „Ziemi Pomorskiej”. Później próbował więc sił w polityce. Aktywizował się w Stronnictwie Demokratycznym, organizując Związek Młodych Demokratów, który w przyszłości miał być zapleczem dla Stronnictwa Demokratycznego. Sukcesów, poza drobnymi korzyściami materialnymi, nie odniósł. Wszystkie jego plany pisane były na wodzie. Pewnego dnia, na początku 1947 roku, dowiedziałem się, że mam już innego lokatora. Redaktor sprzedał mieszkanie, podobno za niebagatelną sumę i przeniósł się do Warszawy, gdzie zginął w tłumie trzeciorzędnych redaktorów. Pewien czas publikował drobne artykuły w gazetach warszawskich, między innymi w „Tygodniku Demokratycznym”.

Krótkie epizody przynależności do Stronnictwa Demokratycznego, wtedy i później, miało więcej osób. Kiedy zwietrzyli, że w Stronnictwie nie zrobią kariery, uciekali do PPR, później PZPR. Do władzy garnęli się wtedy różni; PPR niby miało władzę z „nadania dziejowego i klasowego”, ale nie miało kadr w terenie. Ludzie ambitni szukali dla siebie miejsca. Tak jak po pierwszej wojnie światowej, i teraz było do obsadzenia dużo stanowisk i posad. Byli tacy, co stawiali na PSL, PPS i SD, i ci się przeliczyli. W SD poła do zrobienia kariery było niewiele. Na początku 1946 roku Stronnictwo Demokratyczne liczyło około 200 tys. członków, PPR dopiero zbliżała się do tej liczby. W czasach stalinowskich SD uległo nieomal likwidacji. Odrodziło się znowu w 1956 roku, ale tym razem przewodnia i dodatkowo kierownicza partia trzymała cugle krótko. Marzenia niektórych terenowych członków SD o nadaniu jej charakteru partii opozycyjnej okazały się mrzonkami.

Na drugim piętrze panowali teraz Pieślakowie, emigranci z Wileńszczyzny. Matka, syn i córka. Czołową postacią był syn Władysław. Nauczyciel, fizyk z ambicjami naukowca. Pewien czas był wykładowcą w Wyższej Szkole Inżynierskiej, wymaganego doktoratu jednak nie zrobił. Po kilku latach zrezygnowano z jego usług względnie on sam zrezygnował, bo trudno godzić aspiracje naukowca z kolekcjonowaniem różnego rodzaju posad i intratnych

zajęć ubocznych. Mogło też zaważyć, szczególnie w latach pięćdziesiątych, jego wileńskie dziedzictwo, postawa polityczna: na nie. Drobnym przykładem byłem obecny na inauguracji roku akademickiego. Rektor intonuje *Międzynarodówkę*, senat wstaje i śpiewa, względnie udaje, że śpiewa, z wyjątkiem pana Władysława, który demonstruje milczenie, a twarz dezaprobatę. Jako lokator nie był zbyt uciążliwy, listę życzeń miał umiarkowaną. Od czasu do czasu odbywały się u niego przyjęcia, z zaproszeń nie korzystałem. Raz dała się namówić moja małżonka, wróciła w wyraźnym wesołym nastroju, ale wizyty nie powtórzyła. Pieślak imponował mi troskliwością syna. Chyba ze względu na matkę zwlekał długi czas z zawarciem małżeństwa. Grawitował już mocno do czterdziestki, kiedy zdecydował się na ożenek. Z bydgoszczanką, panną Czerniakówną, której brat jest biskupem w Gnieźnie. W mieszkaniu pozostały kobiety. Ciekawą postacią była matka rodu – starsza pani Pieślakowa. Jak większość wilniuków – zdrowa, silna, długowieczna. Zmarła w sędziwym wieku dziewięćdziesięciu kilku lat. Jeszcze dwa lata przed śmiercią nosiła sama węgiel z piwnicy na drugie piętro. Gniewała się, kiedy ktoś inny chciał ją wyręczyć. Mniej sympatyczna dla otoczenia była jej córka – Anna Drwalowa. Mąż jej zginął zdaje się na wojnie. Takie jest moje przypuszczenie, bo sama unikała rozmów na tematy osobiste. Była nauczycielką, w Bydgoszczy uczyła w szkole powszechnej. W latach sześćdziesiątych przeszła na emeryturę. Widocznie doznała w życiu dużo złego, bo stała się osobą skrytą, nieufną, zgorzkniałą. [...].

Jeszcze trochę wspomnień na temat służbówki w suterenie. Przed wojną w lepszych domach zatrudniano dozorców, przydzielając im mieszkanie służbowe, przeważnie bezpłatne. W styczniu 1945 roku, kiedy po kilku latach oglądałem po raz pierwszy nasz dom, nikogo tam nie było. Nieco później zgłosił się ktoś po rower, który znajdował się we wspomnianej służbówce. Meblami się nie zainteresował. Nazwisko posiadacza roweru nie pamiętam. Zdaje się, że istniały jakieś powiązania między nim a następnym kandydatem na portiera Waldemarem Schendlem. Przybył do Bydgoszczy z Włocławka, gdzie – jak się okazało – grunt mu się palił pod nogami, w związku z przeszłością okupacyjną. Z okrucich informacji, jakie do mnie dotarły, dowiedziałem się, że przed wojną był szoferem znanym z brawurowej jazdy. Mieszkał wówczas w Bydgoszczy i tutaj się ożenił. Żona katoliczka, on ewangelik, niejasnej narodowości. W czasie okupacji korzystał prawdopodobnie z przywilejów Volksdeutscha, jako właściciel sklepu. Po wojnie, wskutek donosu, został aresztowany i skierowany do obozu, najpierw w Mielęcinie, później Potulicach. Przez pewien czas wykonywał ciężką pracę w kopalni. Widocznie nie znaleziono w jego życiorysie poważniejszych przewinień, bo nie został repatrio-

wany, lecz wrócił do domu. Zwolnienie przyspieszył fatalny stan zdrowia. Miał ciężkie schorzenie żołądka i wątroby. Tylko dzięki ryzykownym zabiegom chirurgicznym pozostał przy życiu. Funkcja portiera stała się po wojnie przeżytkiem. W praktyce ograniczała się do sprząwania klatki schodowej. Obowiązki te, jeżeli można mówić o obowiązkach, pełniła kilka lat ochotniczo jego żona Zofia. Odnosiłem wrażenie, że się czegoś bała. Byłem dyskretny i nie pytałem się. Czas mijał, zanikł kompleks strachu, wróciła pewność siebie, odżyła też żyłka handlowa. Schendlowie stali się, nie wiadomo jaką drogą, kioskarzami. Ich sytuacja materialna polepszyła się, natomiast pogarszał się byt materialny właściciela domu. Wpływy z tytułu czynszów były groszowe, a rosły zobowiązania właściciela domu z tytułu pokrywania kosztów remontów. Pojawiła się płaszczyzna tarć między mną a Schendlami wskutek natarczywego domagania się zwrotu pieniędzy za wykonany przez nich, bez mojej zgody, remont. Moim zdaniem remont bez usunięcia grzyba, jako głównej przyczyny dewastacji mieszkania, mijał się ze zdrową logiką. Schendlowie zrozumieli to wreszcie i rozpoczęli starania o przydział innego mieszkania, ale bez własnego wkładu finansowego. Miasto na to nie chciało wyrazić zgody, argumentując, że stać ich na zakup mieszkania spółdzielczego. Za kunktatorstwo zapłacili wysoką cenę – pogorszenie się stanu zdrowia. Wilgoć i stęchlizna wyniszczała organizm. W ostatnich latach życia przebywali bodaj częściej w szpitalu niż we własnym mieszkaniu. Dziś, kiedy piszę te słowa, Schendlowie już nie żyją. Z perspektywy czasu oceniam ich rolę raczej pozytywnie. Krótkie spięcia nie pozostawiły w mojej pamięci trwalszych śladów, dominowały okresy dobrosąsiedzkiego, życzliwego współżycia. Szczególnie wysoko ceniłem pracowitość Schendla i jego dbałość o porządek. Tymi zaletami odznaczał się, mimo ciężkiej choroby, prawie do ostatnich dni życia. W drobnych usługach świadczonych spontanicznie widziałem przywiązanie do wspólnego domu i jego otoczenia. Szkoda, że takiej ofiarności nie demonstrowali inni lokatorzy.

Dbałość o porządek w domu i estetykę wyglądu jego otoczenia utraciły rangę cnoty obywatelskiej. Przyczyn niekorzystnej degradacji należy szukać w układzie stosunków społeczno-politycznych, w płaszczyźnie materialnej i moralnej. Niestety, ustrój, który propaganda partyjna nazywa ustrojem sprawiedliwości społecznej, zdemoralizował część społeczeństwa, zabił przedsiębiorczość i inicjatywę obywateli. Zamiast powszechnego dostępu do dóbr materialnych rozbudowano do absurdu system pozwoleń, koncesji, talonów, bonów, przywilejów etc. Prawa własności zepchnięto na margines, w czasach stalinowskich były nawet zakusy, aby ograniczyć je do rzeczy osobistych, związanych z codziennym bytowaniem. Ludzie od dziesięcioleci pytają – jak

to się wszystko trzyma? Do niedawna byłem optymistą, wierzyłem, że zmiana systemu gospodarczego i politycznego w dalszej perspektywie przyniesie poprawę sytuacji społeczeństwa. Teraz widzę, że władze zabrnęły w ślepy zaułek; obserwuję bezładną szamotaninę i brak koncepcji. System wydaje się nie mieć nic do zaoferowania – jego możliwości się wyczerpały. Przed wojną Bydgoszcz była czystym i zadbanym miastem. Tej Bydgoszczy częściowo już nie ma – zniknęła w morzu bylejakości i pseudonowoczesności. Czynsze za lokale mieszkaniowe po wojnie miały wartość „dziadowskich groszy”, a właściciele domów stali się ich administratorami, zobowiązanymi do pokrywania deficytów. Zdarzało się, że kamienicznicy rezygnowali dobrowolnie z praw własności do domów nadmiernie obciążonych długami. Innym ujemnym zjawiskiem było niespotykane w przedwojennych dziejach zagęszczenie osób zakwaterowanych w poszczególnych mieszkaniach wskutek wprowadzenia skąpych limitów metrażowych. Jakkolwiek wspomniane bolączki utrudniały współżycie lokatorów głównie w dużych kamienicach czynszowych, to jednak nie omijały mieszkańców naszej dzielnicy willowej. Zamieszkała przed wojną prawie wyłącznie przez ludzi zamożnych, bez- lub małodzieicznych, odmłodziła się gwałtownie. Młodzież, jak każda młodzież, posiadała bogatą inklinację do psot i wyrządzania szkód. Szczególnie niebezpieczne były najazdy młodych gangów młodzieżowych z placu Weysenhoffa. Płoty nie stanowiły dla nich żadnej przeszkody. Pomijam wyczyny amatorów cudzych jabłek. Zainteresowania młodych ludzi budziły, niestety, również dzwonki instalacji elektrycznych na zewnątrz budynku i w klatce schodowej. Przed wojną otwierano furtkę ogrodową i główne drzwi wejściowe na dźwięk dzwonka. W każdym mieszkaniu znajdowała się oddzielna instalacja zakończona dzwonkiem. Dzięki temu utrudniano wejście do domu osobom nieproszonym. Kilka miesięcy po wyzwoleniu miasta niewidzialne ręce rozmontowały instalację, konfiskując również żarówki na klatce schodowej. Czynności te powtórzono kilkakrotnie, w krótkich odstępach czasu. Trudno się zresztą dziwić niedorostkom. Hasło „co twoje – to moje” wynaleźli przed wiekami ludzie znacznie starsi. Obalanie płotów stanowiło rozrywkę dla pojazdów mechanicznych. Elegancka, amerykańska limuzyna marki Humber pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR Władysława Kruczka przyczyniła się walnie do częściowej likwidacji ogrodzenia naszego domu. Oto garść kłopotów związanych z administracją domu, którego współwłaścicielem była wasza matka.

O ulicy Asnyka mawiano, że jest oazą ciszy. Tak było ongiś, ale wiele zmieniło się od czasu, kiedy w pobliskich Alejach Ossolińskich zaczęły kursować autobusy. Muszę jednak podkreślić, w porównaniu ze zgiełkiem ulicznym śródmieścia, mimo rozwoju motoryzacji, nie narzekam jeszcze dziś na

nadmiar decybeli. Ruch uliczny wzrasta tylko w godzinach, kiedy młodzież szkolna dąży do uczelni lub wraca do domów. Z ulicą łączą nas od frontu okna kuchenne. Wzrok waszej matki wędrował najczęściej znad patelni na wille po przeciwległej stronie ulicy, gdzie na pierwszym piętrze mieszkał były przedwojenny pułkownik Aleksandrowicz. Można było tam oglądać czasami dziwne teatrum. Pan pułkownik, w latach młodości dziarski ułan, początkowo jeszcze carskiej armii, w czasach polskich podobno attaché w Tokio, zdziwaczał na starość. Był Don Juan w stanie spoczynku miał, jak głosi fama, kilka żon. Z ostatnią, która próbowała go otaczać opieką widocznie zbyt troskliwą, toczył stary wojak heroiczne boje, kłócąc się do upadłego. Na znak protestu pokazywał się na balkonie, delikatnie mówiąc, w stroju niedbałym, czyli w gatkach. Syn, z zawodu architekt, z zamiłowania myśliwy. Polował i poluje dziś na młode dziewczynki. Przekroczył już sześćdziesiątkę, ale udaje wciąż jeszcze dwudziestolatka. Poza tym bzikiem zaliczam go do ludzi sympatycznych. W stosunku do mnie jest bardzo uprzejmy.

Sąsiadem Aleksandrowicza z prawej strony był Klemens Stark, stryj cioci Janki Zbychowej. Razem z nim byłem świadkiem na ślubie młodych Nowakowskich. W willi Starka zagnieździł się różnego rodzaju promineneci nowej władzy, sekretarze partyjni i wyżsi oficerowie, najpierw radzieccy, później polscy. Po 1956 roku mieszkało tam trzech polskich generałów; między innymi Kamiński. Generał Franciszek Kamiński przez kilka lat był zastępcą dowódcy Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Znałem powierzchownie sekretarzy Komitetu Wojewódzkiego PZPR Mariana Miśkiewicza i Władysława Kruczka. Bliższa znajomość łączyła mnie tylko z dyrektorem bydgoskiego radia Romanem Chłodzińskim. Razem korzystaliśmy dłuższy czas z zaproszeń na pokazy filmowe. Seanse odbywały się w Centrali Wynajmu Filmów (CWF) przy ulicy Toruńskiej. Odbywały się tam seanse przedpremierowe. Mama wasza, zaprzyjęta kinomanka, przeżywała tam rzadkie chwile radości.

Odnosić też trzeba drobne kontakty towarzyskie z naszymi sąsiadami pod numerem szóstym – Kaszyńskimi. Dr Kaszyński, przedwojenny adwokat, poczuwał się do długu wdzięczności, bo w lutym 1945 roku, kiedy nie zdążył jeszcze wrócić z okupacyjnej poniewierki, zaopiekowałem się jego domem, w którym popękały rury i woda przelewała się przez mury. Poza tym łączyła mnie z panem Stanisławem koleżeńska przynależność do władz wojewódzkich Stronnictwa Demokratycznego. Mecenas, mimo zaawansowanych lat życia, miewał podobno skłonności do amatorów. Zalecał się też niezręcznie do mojej Maryli. Trochę go rozumiałem. Jego żona od lat cierpiała na niedowład nóg. Osoba na ogół sympatyczna, ale zbyt głośna. Była czeską Żydówką, do końca życia nie nauczyła się mówić prawidłowo po polsku. Niektóre

jej powiedzonka można by umieścić w piśmie humorystycznym. Sygnalizując agresję pchły, krzyczała – Stasz, coś mnie kaśz! Z twarzy Stasia trudno było odczytać niearyjskie pochodzenie. Byłem zdziwiony, kiedy dotarła do mnie plotka, że pan Stanisław nazywał się we Lwowie Katzem. Nie byłem antysemitą – nie lubiłem tylko Żydów fanatyków. Mój sąsiad był zresztą praktykującym katolikiem. Dla polskich antysemitów nie miało to większego znaczenia. Córka Kaszyńskiego – pani Bielawska, zresztą też adwokat, skarżyła mi się, że w 1968 roku, na fali antysemickich nastrojów, ktoś powybił im szyby w oknach.

W willi naprzeciwko, vis-à-vis Kaszyńskich, w czasach stalinowskich mieściła się jakaś placówka Urzędu Bezpieczeństwa. Na pierwszym piętrze mieszkał oficer UB z rodziną, bodajże w randze pułkownika, a w suterenie dozorczyń z synem, chyba trochę opóźnionym w rozwoju. Przed domem w godzinach przedpołudniowych był duży ruch – pod dom podjeżdżały i odjeżdżały wojskowe samochody osobowe i terenowe. Z galerii typów przewijających się przed tym tajemniczym domem zapamiętałem płowowłosego szofera, na którego koledzy w mundurach wołali Alosza. Po październiku 1956 roku w willi urządzono żłobek, do którego noszono moje wnuki.

Po lewej stronie, w willi Pilaczyńskich mieszkało kilka rodzin. Na dole Lisowscy i stara pani Żakowa, kumpelka mojej matki od kart. W karty potrafiły panie grać ostro. Od czasu do czasu gry kończyły się przed czasem, ponieważ hazardzistki oskarżały się o karciane oszustwa. Dobiegały do mnie wtedy podniesione głosy: „To było panine, wcale nie, to było panine!”. Słowo „panine” padało wtedy nader gęsto i zwiastowało na ogół nadchodzącą „burzę”. Mimo długich lat karcianego współzawodnictwa, karcarki cały czas zwracały się do siebie per pani.

Zygmunt Lisowski był spokojnym urzędnikiem bankowym, przed wojną zajmował stanowisko naczelnika Urzędu Skarbowego. Bliżej go nie znałem. Jak mi opowiadali sąsiedzi, kiedyś wcześniej rano przyjechali po niego funkcjonariusze UB. Z domu go wyprowadzili, ale zaparł się nogami o słupki furtki prowadzącej na ulicę, więc go puścili. Podobno było ich trzech na jednego. Przyjechali po niego następnego dnia, tym razem nie stawiał oporu. Po kilku przesłuchaniach go puścili. Kiedyś go zagadnąłem na ulicy, o co chodziło? Machnął ręką, nie chciał mówić. Drugie piętro zajmowało starsze, bezdzietne małżeństwo. Trzymali wielkiego pręgowanego kocura o imieniu Pufa. Kocur gwałcił wszystkie kotki w okolicy, w związku z czym w marcu rozlegał się wokół przeraźliwy wrzask. Pufa, jak mówiono, spał w osobnym łóżeczku i jadał z gospodarzami przy jednym stole. Do dziś słyszę w uszach długie monotonne nawoływania: Pufa, puff puff, Pufa, puff puff.

W życiu mojej żony znacznie większą rolę odegrało sąsiedztwo od strony podwórza i ogrodu, od czasu kiedy w willi Volksdeutscha Bolesława Jączkowskiego przy ulicy Ossolińskich 21 zamieszkała rodzina adwokata Eugeniusza Glassa-Brudzińskiego. Poznałem go w 1945 roku, kiedy krótko chodził w mundurze milicjanta. Przedtem był w AK i walczył w Powstaniu Warszawskim. Wiem, że działał w PPS. Później pracował pewien czas w Narodowym Banku Polskim; równocześnie studiował prawo w Toruniu. Pod koniec lat pięćdziesiątych zaczął prowadzić kancelarię adwokacką. Nasza znajomość była początkowo powierzchowna. Natomiast panie przyłgnęły do siebie sercem i duszą. Przyjaźń pogłębiła kumplowska komitywa między kolegami szkolnymi: Januszem Esmanem i Markiem Glassem. Panie toczyły codziennie rozmowy z balkonów od strony ogrodu. Można było znaleźć w nich wszystkie babskie historie, jakie nagromadziły się w ciągu dnia; melanz radości, smutków i niepokojów. Szczególnie ważny rozdział w zwierzeniach zajmowały aktualia o stanie zdrowia. Markowa, choć znacznie młodsza, chorowała częściej. Dokuczały jej szczególnie dotkliwe bóle głowy. Dodam jeszcze, że sąsiadka Glassowa odznaczała się szczodrym sercem i dzieliła się z nami gruszkami, które owocowały u niej w ogrodzie w nadmiarze.

Inną genezę posiadała przyjaźń Maryli z Anielą Gniłkową. Rodowita poznanianka, energiczna, ruchliwa, trochę pyskata, ale serce otwarte, pomocne. Jej hobby było kolekcjonowanie znajomych, możliwie najbardziej wpływowych. W tej kolekcji znalazłem się chyba wskutek pomyłki. Możliwe, że zaważył tytuł – przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego, ale bywają tytuły czeze, jeżeli ich się odpowiednio nie dyskontuje. W otwartym domu pani Anieli czułem się dobrze. Gościnności tej jednak nie nadużywałem. Aniela rządziła w domu autokratycznie, trzymając męża pod pantoflem. Włodek stawał się rezolutny i przedsiębiorczy tylko w czasie jej nieobecności. Był pracownikiem Instytutu Rolnego, niepozbanionym ambicji sięgania po awans w życiu zawodowym, społecznym i politycznym. Działał między innymi w ZBOWiD i Bydgoskim Towarzystwie Naukowym. Wielkiej kariery jednak nie zrobił. Cierpiał, zdaje się, trochę na manię prześladowczą, ale główną przeszkodą były dolegliwości nabyte w obozie koncentracyjnym: nerwowe tiki, chwiejny chód, utykanie i nadmierna pobudliwość. Podziwiałem jego pracowitość. Budżet domowy łątał lekcjami fizyki i matematyki. [...] Opowieść o Anieli i dziejach jej życia musiałaby być co najmniej trzytomową pracą i zawierać charakterystykę bliskich koneksji z co najmniej tuzinem osób, które moja żona poznała na organizowanych przez Anielę sejmikach babskich. Brała w nich udział obowiązkowo ciocia Anusia Wąsikowa z Poznania. Maryla i Anusia spotykały się z Anielą czasami w jej

domu rodzinnym w Poznaniu. Hamulcem dla ożywionej działalności towarzyskiej Gniłkowej stały się jej nieszczęsne nogi. Mimo kilkakrotnych operacji nie pozbyła się nękających ją żyłaków. Wskutek przeprowadzki Gniłków z urzędowego mieszkania w Instytucie na peryferie miasta zmalała znacznie częstotliwość wizyt. Po śmierci Maryli dawna serdeczna więź przestała istnieć.

Krąg moich znajomych rozszerzał się w trakcie działalności społeczno-politycznej, ale tylko jedna znajomość prowadziła do serdeczniejszego zbliżenia rodzinnego. Człowiekiem, do którego miałem pełne zaufanie, nie tylko jako działacza Stronnictwa, ale również jako zawsze życzliwego przyjaciela, był Jan Kaźmierski. W połowie lat pięćdziesiątych przeniósł się ze Szczecina do Bydgoszczy i pełnił tu funkcję sekretarza Wojewódzkiego Komitetu SD. Dziś Kaźmierscy mieszkają w Sopocie. O innych znajomościach i przyjaźniach mojej małżonki wspominałem już w poprzednich rozdziałach epitafium; między innymi o przyjaźni z Motylewską. W tym miejscu na podkreślenie zasługuje zacieśnianie się stosunków towarzyskich, w których niepoślednią rolę odegrała przynależność Motylewskiego do Stronnictwa Demokratycznego i moja pozycja w Prezydium Wojewódzkiego Komitetu SD. Bruno, zwany Bronkiem, awansował w pracy zawodowej i społecznej. Odwdzięczał się za to wystawnymi przyjęciami, w których uczestniczyli również Kaźmierscy. Nie wnikając w złożone motywy gościnności, zachowałem wizję wspaniałej wyżerki. Gospodarz, namiętny myśliwy, prezentował najsmaczniejsze kaski dziczyzny. W przyjęciach brałem udział nie tyle z tytułu wyżerki, ale raczej ze względu na to, że moja Maryla czuła się dobrze w tym towarzystwie. Motylewscy nie żyją. On zmarł przed moją żoną, ona krótko po niej. [...]. Nieco dłużej trwała znajomość sanatoryjna z panią Janiszewską, która posiadała gospodarstwo w Prądociu koło Chmielnik. Spędziliśmy tam beztrioski urlop wypoczynkowy z dziećmi. [...]. O trwałości i jakości małżeństwa nie decyduje jednak uczestnictwo w życiu towarzyskim, lecz właśnie ta materialna, codzienna szarzyzna.

Poszukując syntezy powojennej historii naszego małżeństwa, muszę uwzględnić przede wszystkim czynniki, które wpływały na kształtowanie się podstaw bytu materialnego w sensie pozytywnym i negatywnym. Zaliczam do nich pracę zawodową i naukową oraz działalność społeczną i polityczną. Tak się złożyło, że pracę zawodową rozpocząłem równocześnie z działalnością społeczną. Pisałem już o tym, jak w czasie walk ulicznych, z upoważnienia Komitetu Obywatelskiego, zabezpieczyłem Archiwum – mój przedwojenny zakład pracy. W następnych dniach kierowałem nie tylko akcją zabezpieczania akt poniemieckich, ale chroniłem od zagłady również księgozbiory i bez-

pańskie muzealia. Instytucja społeczna, której patronowałem, posiadała nazwę – Komitet Ochrony Mienia Państwowego i Kulturalnego. Później, kiedy część naszej kompetencji przejął Urząd Likwidacyjny, Komitet działał przez pewien czas jako Urząd do Spraw Archiwalnych i Bibliotecznych, podporządkowany wojewodzie bydgoskiemu. W początkowym okresie zainicjowanej akcji zabezpieczenia zatrudniliśmy kilkuset pomocników, przeważnie ludzi młodych, czekających na otwarcie liceów i innych uczelni. Siedziba Komitetu mieściła się w gmachu Rejencji Bydgoskiej przy ulicy Jagiellońskiej, który dziś wchodzi w skład zabudowań Urzędu Wojewódzkiego. W tym gmachu, opuszczonym przez okupanta we wzorowym porządku, znaleźliśmy stołówkę, stosunkowo dobrze zaopatrzoną w różnego rodzaju produkty żywnościowe. Zapasy żywności przydzielaliśmy pracownikom najbardziej potrzebującym, jako ekwiwalent za ochotniczą społeczną pracę. Ja otrzymałem również drobne przydziały. Dopiero po pewnym czasie w ramach skromnej dotacji można było sporządzić właściwe listy płac. Pod koniec kwietnia 1945 roku przywiózł mi Leon Siuchciński z Poznania pierwsze normalne pobory wyasygnowane przez Naczelną Dyрекcję Archiwów Państwowych w Warszawie. Prawie równocześnie otrzymałem nominację na kierownika Archiwum Państwowego w Bydgoszczy. Pobory były odtąd trwałym składnikiem naszego budżetu domowego, o podstawowym znaczeniu. W skład naszej małżeńskiej wspólnoty majątkowej wchodził poza tym dom z ogródkiem i mieszkanie z umeblowaniem. Korzyści materialne z tytułu tego rodzaju własności były, jak wspomniałem, żadne. Wysokość moich poborów kształtowała się różnie. Znośnię – w czasach, kiedy pełniłem obowiązki dyrektora, niedostatecznie – po przymusowej rezygnacji z tego stanowiska. Na moim utrzymaniu było siedem osób, dzieci chodziły do szkoły, więc potrzeby były duże. W czasach stalinowskich zaczęliśmy znowu niedojadać. Pewnego dnia na obiad pojawiła się brukiew – dzieci odmówiły konsumpcji. Wolały nasączony w wodzie czy w mleku podpiekany chleb, posypany cukrem. Żona poszła do pracy w drukarni przy ulicy Dworcowej. Nienawykła do ciężkiej pracy fizycznej, wytrzymała kilka miesięcy. Później próbowała szyć chałupniczo bieliznę. Malowała też na jedwabnych serwetach i obrusach, nie było jednak na te rzeczy popytu, więc niewiele zarobiła. Z biegiem czasu pojawiły się możliwości łatania budżetu domowego zarobkami z innych źródeł. Tworzono pół- i ćwierćetaty, zezwalano na udział w pracach zleconych. Dochody z tego rodzaju źródeł przekraczały często wysokość normalnych poborów. Specjaliści w dziedzinie „chałtury” zaczęli jeździć własnymi samochodami. Wśród braci archiwalnej modne było przyjmowanie zleceń na porządkowanie akt w składnicach przedsiębiorstw i urzędów oraz prowadzenie kwerend. Ja, niestety, nie uczestniczyłem we wspomnianych

pracach pozasłużbowych. Szanse odbierał mi zbyt aktywny udział w życiu społecznym miasta i województwa.

Po wojnie leżały odłogiem wszystkie dziedziny polskiego życia społecznego, istniało więc zapotrzebowanie na działaczy. W pierwszych miesiącach 1945 roku należałem do niewielkiego grona „autochtonów”, którzy wykazali inicjatywę twórczą i umiejętności organizacyjne. Wykorzystały to ówczesne sfery rządowe, obarczając mnie zadaniami również w obcej mi dotąd dziedzinie politycznej. Byłem długi czas aktywnym członkiem władz wojewódzkich, z czasem centralnych, Stronnictwa Demokratycznego. Reprezentowałem jego interesy w radach narodowych, na szczeblu miejskim i wojewódzkim oraz w wielu innych organizacjach społecznych. W latach pełnego zaangażowania obsługiwałem, względnie usiłowałem obsłużyć, 16 towarzystw różnego typu. Trwale, niezależnie od przymusu delegacyjnego, związałem się z Okręgową Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Bydgoszczy, jako inicjator i organizator, później, w latach sześćdziesiątych, Bydgoskim Towarzystwem Naukowym, instytucją chyba najbardziej udaną i do dziś najbliższą sercu.

Obsługa rozległego i różnorodnego terenu działania wymagała dużego nakładu czasu. Dobrze czuli się w tym żywiole rasowi działacze, ludzie energiczni, szybcy w myśleniu i działaniu. Ja do nich nie należałem. Każde wystąpienie publiczne musiałem mozolnie przygotować. Zainteresowanie moje pracami zleconymi rosło w miarę wycofywania się z bardziej eksponowanych stanowisk i funkcji. Poprzednio ratowały sytuację od czasu do czasu niewielkie nagrody pieniężne i honoraria autorskie za drobne publikacje. Szkoda, że szansa na poprawę budżetu domowego pojawiła się zbyt późno, kiedy narastały już symptomy starzenia się. Skłonności do wygodnictwa, które miałem chyba we krwi, wróciły po wielu latach. Charakteryzowała je przesadna dbałość o własne zdrowie, jako gwaranta przedłużenia życia. Dochody z poborów, później z emerytury, stanowiły bowiem w dalszym ciągu główną podstawę naszego utrzymania.

Podziwiałem zawsze ludzi, którzy znajdowali w pracy pasję życiową, jak gdyby nie odczuwali jej trudu. Exemplum, mój przyjaciel profesor Zdzisław Grot z Poznania. Czasami próbowałem ich naśladować, ale nie udawało się. Zwyciężał racjonalizm, że cechy organizmu ludzkiego wytyczają każdemu człowiekowi granice, których przekroczenie w eksploatacji sił fizycznych i umysłowych staje się niebezpieczne. Pouczenie to czerpałem między innymi, śledząc bolesny żywot mego szwagra Janka, w ostatnich latach życia. Janek, zdolny prawnik, jak sięgnę pamięcią, zawsze zapracowany, kolekcjoner etatów, niezmordowany poszukiwacz źródeł nowych dochodów, siedział nieraz do późnych godzin nocnych nad papierzyskami. Nagle, w tempie prawie błyska-

wicznym, człowiek z natury wesoły, tryskający energią i dowcipem, stał się ludzkim wrakiem. Skleroza posiada różne źródła i różne natężenie, ale tak piorunującego działania nigdy przedtem nie oglądałem. Piszę to tylko dla oczyszczenia się z zarzutu, że zbyt dużo czasu spędzałem i spędzam przed telewizorem. Na marginesie dodam, że telewizor pojawił się u nas dopiero w połowie lat sześćdziesiątych, kiedy sytuacja materialna się już nieco poprawiła.

Najtrudniejszy okres miałem w latach 1952-1956, kiedy w czasach kultu Stalina odsunięto mnie od wszystkich stanowisk społeczno-politycznych. Straciłem wtedy stanowisko dyrektora Archiwum Państwowego i mimo pełnej rehabilitacji w 1956 roku nigdy go nie odzyskałem. Dla władz przedwojenny kierownik archiwum, nienależący do właściwej partii, manifestujący przywiązanie do Kościoła, był osobą nie do strawienia. W 1952 roku zainteresowało się mną UB. Wzywali mnie na przesłuchania i przychodzili do domu. Kiedyś zarekwirowali mi kilkanaście książek z szafy bibliotecznej, które uznali za antyradzieckie. Po 1956 roku „skruszony” ubowiec zwrócił mi większą część zakazanej literatury. Nie mieli się do czego przyczepić, więc zajęli się moją działalnością w czasie okupacji. Ubzdurali sobie między innymi, że organizacje konspiracyjne, z którymi miałem kontakty w czasie wojny, były na usługach Niemców. We wrześniu 1952 roku odwołano mnie też z funkcji przewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu SD. Odbyło się to w przygnębiającej, ponurej atmosferze czasów stalinowskich. Wydawało się, że jestem „skończony na zawsze” – umarłem śmiercią cywilną. Przestałem istnieć w życiu publicznym na cztery lata. Pobory moje skurczyły się, a wydatki rosły. Nastął znowu okres „chudej fary” [...].

W roku 1970 przeszedłem na emeryturę, po prawie 44-letniej służbie, której przebieg nie zawsze dawał mi pełną satysfakcję. Wybiegłem jednak nieco za daleko w czasie, pomijając ważne wydarzenia w dziejach naszego małżeństwa. Cofam się więc do roku 1957.

W listopadzie obchodziliśmy uroczyste srebrne wesele. W kościele pod wezwaniem św. Wincentego à Paulo na Bielawkach odbyła się msza święta. Po raz pierwszy wystąpiłem w Bydgoszczy jako kawaler Orderu Polonia Restituta. Order otrzymałem w Warszawie w dowód uznania za aktywny udział w działalności społeczno-politycznej i w pewnej mierze jako ekwiwalent za doznane krzywdy w latach kultu jednostki. Później, w 1979 roku, przyznano mi jeszcze najwyższe polskie odznaczenie: Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. Dług wyrównano symbolicznie – materialnie prawie nic nie zyskałem. Przybyło mi natomiast wiele nowych funkcji w związku z wyborem na fali zmian październikowych w 1956 roku na Przewodniczącego Wojewódzkiego

Komitetu Stronnictwa Demokratycznego [...]. Po 1956 roku znowu rzuciłem się w wir życia społecznego i politycznego. Z racji pełnionych funkcji zapraszano mnie na różne uroczystości, spotkania, zjazdy, sesje, zebrania itp. Byłem także wieloletnim radnym Miejskiej i Wojewódzkiej Rady Narodowej. Uczestnicząc w spotkaniach na szczeblu wojewódzkim, powiatowym czy miejskim, spotykałem się także z ludźmi z lokalnej elity PZPR. Zdawałem sobie sprawę, że większość towarzyszy partyjnych traktuje mnie jako człowieka „obcego”, nie „swojego”. Przyzwyczailem się, że po kilku wódkach, niektórzy towarzysze tracili proletariacką czujność i w mojej obecności klasyfikowali ludzi według przynależności do twardego partyjnego rdzenia. Określenie „nasz człowiek” było rekomendacją nie tylko partyjną, ale także rekomendacją do wejścia w lokalny krąg ludzi władzy. Władza od zawsze obok kłopotów przynosi także profity, na przykład w postaci dostępu do intratnych posad czy funkcji. Termin „nasz człowiek” nie dotyczył wszystkich towarzyszy. Wśród członków przewodniej siły, co ujawniło się głównie w październiku 1956 roku, byli też ludzie z etykietami: liberałów, rewizjonistów, niepewnych, wątpiących, „niewierzących”, a nawet „filozofów”. Z niektórymi przedstawicielami establishmentu, na ogół nie pierwszego garnituru, miałem dobre kontakty. Czasami traktowali mnie jako swojego powiernika, który nie zaszkodzi, a któremu można powiedzieć więcej niż swoim. W środowisku tym zresztą podejrzewam, jak wszędzie, było sporo ukrywanych i nieukrywanych animozji i konfliktów. Czasami w grę wchodziły zwykłe sympatie i antypatie, a także bezinteresowna ludzka zawiść.

Po zmianach październikowych istnienie Stronnictwa Demokratycznego zauważył nawet Konsulat Generalny Związku Radzieckiego w Gdańsku. Przy końcu lat pięćdziesiątych do Wojewódzkiego Komitetu SD w Bydgoszczy dotarło imienne zaproszenie, pisane po rosyjsku, z Konsulatu dla Sekretarza Partii Demokratycznej Tow. Tadeusza Esmana, na uroczyste przyjęcie z okazji kolejnej rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Uśmieiałem się z tego „towarzysza” i funkcji, którą mi niezasluzenie przypisano, ale moje nazwisko wymienione na zaproszeniu nie pozostawiało wątpliwości, że chodzi właśnie o mnie. Chciałbym pokrótce opisać to wydarzenie, będące odbiciem obyczajów panujących wśród elit politycznych tego okresu. Na spotkanie patrzyłem oczyma człowieka z zewnątrz, który znalazł się tam niejako przypadkowo. Wchodzących do budynku witał urzędnik w mundurze służby dyplomatycznej. Po zdawkowych uprzejmościach, przekazał mnie prawie natychmiast dżentelmenowi, który chyba był lokajem, jeżeli przyjąć, że w socjalizmie są w ogóle lokaje. Bankiet, typu standing party, odbywał się w obszernym hallu. W poprzek postawiono dwa rzędy obficie zastawionych

stołów. Królowały dania mięsne, sałatki, ryby, galarety, jarzyny, tudzież południowe owoce. Wśród alkoholu dominowały koniaki i czysta wódka. Towarzystwo na ogół dystygowane, biorąc pod uwagę chociażby stroje. Panie w długich sukniach, niektórzy panowie w smokingach. Widziałem znanych polityków, ludzi nauki i sztuki. Kilku ambasadorów przepasanych jaskrawymi szarfami – słowem high society z końca lat pięćdziesiątych. Przyjęcie rozpoczęło przemówieniem Konsul Generalny w Polsce. O dziwo, prawie wszystko zrozumiałem, co mówił, mimo że kiedyś odbyłem w Archiwum tylko kilkutygodniowy, przyspieszony kurs języka rosyjskiego. Na koniec wznosił zwyczajowy toast „za drużbu”. Wśród gości zauważyłem kilku kolegów z Centralnego Komitetu SD, między innymi Przewodniczącego Stronnictwa prof. Stanisława Kulczyńskiego, z którym odbyłem przyjacielską pogawędkę. Po zachęcie ze strony konsula, uczestnicy spotkania zajęli się szybko konsumpcją frykasów przygotowanych przez gościnnych gospodarzy. Obok mnie przy stole stał grubawy jegomość, około pięćdziesiątki, o różowej, czerstwej twarzy włóścianina. Zwróciłem na niego uwagę, bo tuż po rozpoczęciu uczy sięgnął po otwartą butelkę armeńskiego koniaku, wyciągnął z kieszeni spodni przygotowany zawnazdu korek, wprawnym ruchem ręki ją zakorkował, po czym wsadził ją do kieszeni spodni. Refleks i wprawa wskazywały, że gość jest widocznie bywalcem podobnych bankietów. Zauważył, że go obserwuję, bo mrugnął do mnie porozumiewawczo, oświadczając, że „towarzysze radzieccy są bogaci, nie zbiednieją”. – A w ogóle, najlepiej tu karmią – dodał. Pomyślałem sobie, że „poją” też najlepiej! Po chwili w kieszeniach jego marynarki zniknęły będące w zasięgu ręki pudełko cygar i papierosy. – Z jakiej towarzysz jest instancji? – zagadnął. Odparłem skromnie – z Wojewódzkiego Komitetu SD w Bydgoszczy. – To towarzysze też was zapraszają? – zdziwił się. Po wypiciu dużej ilości alkoholu zaczął być uciążliwy. Swoje przemyślenia na temat otaczającej rzeczywistości okraszał obficie łaciną kuchenną, co zawsze raziło moje „przedwojenne ucho”. Kiedyś przekleństw używali na ogół ludzie prości, o których mówiono – grubianie, ale i ci zniżali głos w obecności kobiet i dzieci. No cóż, czasy się zmieniają, ludzie i obyczaje też. Zauważyłem też pracownika konsulatu o twarzy rosyjskiego arystokraty z okresu przedrewolucyjnego, w mundurze przypominającym krojem mundur wojskowy. Krążył po sali i zmieniał co jakiś czas partnerów rozmowy. Podszedł w pewnym momencie i do mnie, zagadał coś po rosyjsku. Przedstawił się jako attaché. Zorientował się, że nie władam tym językiem, więc zapytał mnie, czy mówię po niemiecku. Ucieszył się, że trafił na osobę mówiącą językiem Goethego. Okazało się, że kilka lat spędził w Niemieckiej Republice Demokratycznej, co tam robił, nie wiem. Wypytywał mnie o Stronnictwo Demokra-

tyczne. Między innymi zadał na pozór niewinne pytanie, czy istnieją u nas tendencje do uniezależnienia się od partii komunistycznej. Ponieważ prowadziśmy rozmowę w tonie żartobliwym, odpowiedziałem mu też żartobliwie – na razie nie ma przecież u nas w Polsce partii komunistycznej, a jak będzie, to może i będą tendencje. Jeden Pan Bóg wie, co będzie w przyszłości – zakończyłem. – Ma pan rację – stwierdził – może i w Związku Radzieckim będzie miejsce dla partii demokratycznej, jeden Pan Bóg wie? Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek później przyszło zaproszenie z konsulatu do WK SD w Bydgoszczy, przynajmniej nie wtedy, kiedy byłem w ścisłych władzach.

Wybór i opracowanie: Janusz Esman, Marek Romaniuk